№ 52. Warszawa, dnia 26 (14) Grudnia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

L.W.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

Od Redakcyi.

Nie odbiegając od powszechnie przyjętego zwyczaju, chcieliśmy w ostatnim numerze „Tygodnika” zakomunikować czytelniczkom naszym to wszystko, cośmy dla pisma naszego na rok przyszły obmyślili i przedsięwzięli.

„Tygodnik” nie jest pismem wyrosłem wczoraj. Ma swoją przeszłość, zasady, których się trzyma stale, i czytelników, z którymi pozostaje w związku opartym na wspólności dążeń i przekonań. Jako takiemu wolno mu, tuszymy sobie, obejść się bez wynurzeń, zapowiedzi i obietnic, poprzestając jedynie na wzmiance, iż ani w kierunku pisma, ani w warunkach prenumeraty żadne nie zaszły zmiany.

W dziale belletrystyki rozpoczynamy rok 1897 obszerną oryginalną powieścią „**Złamane życie**” pióra Adolfa Dygasińskiego; nowellą Gamastona „**Nadzieja**” i tłómaczonym a szeroko sławy w literaturze angielskiej używającym utworem, rodaka naszego Korzeniowskiego, posługującego się na obczyźnie pseudonymem: *Joseph Conrad*. Niezależnie od powyższych, posiadamy w tece redakcyjnej prace M. Gawalewicza, T. J. Choińskiego, Klemensa Junoszy Szaniawskiego i innych, które kolejno pomieszczać będziemy w „Tygodniku.”

Z całego obszaru pracy ludzkiej starać się będziemy dawać zawsze pierwszeństwo temu wszystkiemu, co kobietę najbliżej obchodzić może — co zostaje w związku z jej udoskonaleniem i co ją do walki z życiem najlepiej przygotować powinno. Duch czasu ma swoje prawa, ale do roztropności należy poznawać, rozróżniać i odgadywać, i przy całem uznaniu naszem dla dzieła postępu, nie możemy zapominać o potrzebach i obowiązkach czysto indywidualnej natury, któremi się każda społeczność rządzić musi w rozwoju swoim, i tego rodzaju względów strzedz będziemy w piśmie naszem, tak jak strzegliśmy dotąd. „Tygodnik” był i pozostanie na przyszłość pismem, które najtroskliwsza matka dorosłej i dorastającej córce bez obawy dać może w rękę.

Pragnąc widzieć kobietę na wysokości jej zadania, pojmujemy ją jako możliwe uosobienie harmonii, dlatego i tę rubrykę pisma naszego, która się jej ubiorem zajmuje, radzibyśmy mieć w ładzie i zgodzie z całością jej bytu.

Podając to co przychodzi do nas z zachodu, a nawet podając z pierwszej ręki i jak najrychlej, starać się będziemy jednocześnie o wskazywanie przez osoby ze wszech miar kompetentne, w jaki to sposób na naszym gruncie aplikowanem, a raczej aklimatyzowanem być powinno.

BILANSE.

Ostatni to już był wieczór przednoworoczny w salonie pani X.

Zgromadzano się tam peryodycznie po każdym 5 ym i 20-ym miesiąca w Poniedziałki, a więc i w roku bieżącym...

...No — stało się! Skoro już napisane, nie przekreślę chyba, a wreszcie choćbym chciał prawdę osłonić, przekonany jestem, iż przenikliwości waszej czytelniczki nic w pole wyprowadzić nie zdoła. Od razu poznałaby z was każda, że tak rozmawiać, jak rozmawiali ci, o których usłyszycie niebawem, mogli tylko ludzie samego schyłku stulecia — ostatniej daty i dni ostatnich.

Tym sposobem popełniłbym kłamstwo bezużyteczne, a tem samem jedno z karygodnych. Niechajże sobie tedy pozostanie i rok 1896 i ten ostatni ubiegły poniedziałek, jako precyzyjna data, pod którą wolno mi było czytelniczki łaskawe podsłuchać prowadzoną tam rozmowę na wasz użytek.

Mówiąc o salonie, a raczej saloniku pani X. zaznaczyć mi wypadnie na wstępie, że zgromadzali się tam przez długi szereg lat jedni i ci sami ludzie, że ci, których tu spotykamy dzisiaj szpakowatych, łysiejących, zaokrąglonych i ociężałych, byli niegdyś młodzi, pełni sił, żywsi o wiele duchem, a ciałem ruchliwsi nieskończenie. Przychodzili teraz siłą nawyknienia—przychodzili, bo im równocześnie z pełgnięciem tkaniny na tych meblach przybywało zmarszczek, a ubywało włosów, bo im wszystko przypominało tutaj tak zwane lepsze chwile, które może i nie były lepszemi, ale miały to do siebie, że były inne.

Niegdyś sprzeczano się tu zawzięcie, później przyszła pora dyskussyj spokojniejszych, inaczej mówiąc — wymiany myśli; w ostatnich latach słabło stopniowo ożywienie, a już w ciągu roku bieżącego zanotowała sobie pani X. kilka nieśmiałych pod jej adresem wycieczek o winta — wycieczek, powiedzmy szczerze, odpartych z nieudanem ze strony tej damy oburzeniem.

Dzisiaj zastajemy tam, jeśli nie kalejdoskop wyobrażeń i przekonań, to przynajmniej mozaikę prawdziwą zawodów, professyj i powołań, reprezentowanych przez stałych uczestników tych dwutygodniowych zebrań. Jest tam i lekarz i kapitalista, dwóch literatów i jeden dziennikarz siedzący na przeciwległym końcu stołu zdala od swojego wydawcy, wreszcie artysta malarz obok muzyka, a do całości kompletu brak tylko kuzyna blizkiego gospodyni domu urzędującego w jednej z poważnych instytucyj miasta.

Rozmowa wlecze się leniwo, począści dlatego, że chwila obecna nie przyniosła jakoś nic nowego, po części z racyi, iż ten za którym oglądają się oczy wszystkich, pomimo rodzaju zajęcia, jakiemu się oddaje, posiada prawdziwy dar stania się w krótkim czasie prawdziwym spiritus mo-

vens każdego towarzystwa, w które go los zapędzi. To też zrażona apatycznem usposobieniem gości, nadsłuchuje pani X. od jakiegoś już czasu, rychło li w przedpokoju rozlegnie się dzwonek, któryby jej oznajmił możliwość wyprowadzenia ich z tej spiączki morderczej, która i na nią oddziaływać zaczyna.

Jakoż kończą się jej udręczenia, bo o wpół do dziewiątej punkt, zjawia się i ten, na którego czekano, i po krótkiem uściśnięciu ręki gospodyni domu, zabiera miejsce, obdzieliwszy przedtem zebranych jednem ogólnem pozdrowieniem. Każdy z nich spotkawszy przez chwilę jego wzrok, skierowany na siebie, uznaje takie powitanie za dostateczne zupełnie, bo zresztą nie nawykli ci ludzie formalizować się tutaj ze sobą, jak to robią gdzieindziej. Znają się od lat, starzeli się razem, widują się 24 razy na rok — czegóż potrzeba więcej?

Wyprowadzona z kłopotu gospodyni domu wywdzięcza się kuzynowi uprzejmem zapytaniem o przyczynę dzisiejszego opóźnienia, na co jej tenże z wielką powagą odpowiada o nadmiarze zajęć, które mu nie pozwoliły przybyć o zwykłej godzinie. Obecni zgłodniali jakiegokolwiek nowego żywiołu badają o rodzaj tych prac nadprogramowych, a dziennikarz poufały niegdyś kolega i współpracownik ostatnio przybyłego, z akcentem natarczywości domaga się szczegółów, w przekonaniu, że będzie z nich można wykrzesać iskrę humoru ku ożywieniu obecnych.

— Pytania takie stosowane do mnie — mówi interpelowany doktoralnie, dowodzą, że nie ma między obecnymi ani jednego osobnika na tyle wtajemniczonego w sprawy ludzi ładu i porządku, iżby mógł odgadnąć, czem ja i mnie podobni zajmować się mogą na 10 dni przed datą 1-go Stycznia.

— Ależ wiemy, znamy te misterya — mówi z lekceważeniem wyraźnem dziennikarz i na dowód tego ja powiem ci zaraz: oto zapewne masz tam te swoje obrachunki, czy coś w tym rodzaju...

— Ani obrachunki, ani coś w tym rodzaju, jak się zapewne mówi w języku literackim; — mamy bilans — roczny bilans — mówię: bilans.

— Niechże będzie bilans. Wielkie zwierze! Toż rozumiemy wszyscy wiele nas tu jest, co znaczy ten hieroglif.

— No co do tego, to pozwolę sobie wyrazić pewne wątpliwości z mojej strony. Znam ja dobrze powszechną w tych sprawach ignorancyę, a co gorsza brak podstaw do wniknięcia w ducha i istotę tej czynności nieporównanej, a znam to do tego stopnia, że mię nawet ochota nie bierze do prostowania skrzywionych albo zgoła niewyrobionych pojęć cudzych.

— Daj za wygranę patosowi, miły niegdyś towarzyszu! Wyszedłeś z cechu, zdradziłeś profesyą, zapisałeś się między czcicieli molocha cyfr, siedź że tam do końca dni twoich, ale nie odbieraj nam chleba deklamacyą czy blagą, bo to rzecz nie twoja. Klećsobie twój bilans do spółki z szatanem i jego czeladzią, kiedy taka wola twoja. Nie zapytujemy wcale o te arcana.

Towarzystwo zaczęło się ożywiać. Blagowano tam niegdyś z dosyć dużem powodzeniem w tem zgromadzeniu za dawnych dobrych czasów — weteranów zaleciała woń młodości, i nie jeden rad był do zawiązanego sporu słowo swoje dorzucić.

Rzekomo opuszczony przez dziennikarza spór podjął najbliższy mu professyą literat i z wszelkimi pozorami uznania zwrócił się do fanatyka, który o swoim bilansie prawił z takiem namaszczeniem.

— Pozwól panie! Niechaj ten człowiek lekkomyślny nie dowie się nic o bilansie, skoro taka jego wola. Wreszcie to jego rzecz: niewiedzieć, i właściwie mówiąc on nie z czego innego żyje tylko z tego. Nie przeszkodzi mu to bynajmniej jutro na żądanie redaktora rozpisać się o bilansach poczynając od kartagińczyków i fenicyan, potrącając zlekka o merkantylizm Hanzy i traktując na końcu *wyczerpująco* sprawy podwójnej, potrójnej, a choćby i poszóstnej rachunkowości. On to zrobi, a nawet przekonany jestem, że zrobi dobrze, bo oni, jak twierdzą, mają już taki dar swój, który zowią intuicyą, a który im pozwala mówić o tem, czego nie rozumieją wcale. Przy jego pomocy dokazują niekiedy rzeczy nadzwyczajnych, i to dzieło niemożebne prowadzi z nich każdy dopóty, dopóki go ktoś świadomszy od niego przy jakimś obsurdzie wołającym o pomstę, nie zleje jak wypada. Potem liże się taki człowiek czas jakiś z odniesionej rany, a jeszcze potem rozpoczyna na nowo i prowadzi sztukę aż do następnej kąpieli. Ty panie, mów do nas, i nie wnikając w szczegóły tego, czem jest twój bilans, powiedz nam raczej, dlaczego ty niegdyś adept i zwolennik professyj liberalnych otrząsnąłeś przed kilkunastu laty proch z nóg twoich na progach świątyń naszych, i przeszedłeś do obcych bogów. Nadto, pożądanem byłoby wiedzieć, czy miejsce twojej kaźni traktujesz jako czyściec, czy też w otchłani pozostać myślisz do kresu dni twoich?

— Błogosławiony kto pyta! Pragniesz wiedzieć, będziesz wiedział bez względu na to, czy chcesz naprawdę się oświecić, czy też idzie ci jedynie o pomieszczenie rozmowy naszej w jednej z tych twoich niezdarnych nowelli, o które ciemniejsi jeszcze od ciebie wydawcy twoi dobijają się z taką zapalczywością. Bóg z nimi i z tobą. Pisz kiedy ci płacą a patrz końca. Miarkując po tem jak cynicznie ogłupiacie jednych, a jak nielitościwie udręczacie drugich, koniec ten dalekim być nie może. Słuchajże!

Cały ten padoł płaczu dąży do zbillansowania, mówiąc językiem ludzi trzeźwych, albo do równowagi, jeśli się mamy posługiwać terminem łgarzy-profesyonistów, i kłamców z nieświadomości.

Tej równowagi a raczej tego billansu potrzebuje i człowiek pojedyńczy, który sobie zrobił postanowienie codziennego jadania obiadów aż do ostatniego z dni swoich — potrzebuje go instytucya, której zależy na tem, aby wiedziała jak się ma, potrzebuje nakoniec społeczność, której od czasu do czasu zachciewa się, aby jej powiedziano w oczy, czy to, co się różowi na jej policzkach jest rumieńcem zdrowia, czy gorączkowym wypiekiem.

Człowiek pojedyńczy ma od tego swoje pięć mniej więcej zdrowych klepek w głowie. Instytucya...

— Takich jak ty mistrzów panie.

— Rzekłeś dobry człowiecze. Społeczność nakoniec, oby jej to Wszechmocny odpuścił, obrała sobie ad hoc specyalnych urzędników, których niewiadomo dlaczego stale rekrutuje z bractwa siedmiu boleści. W języku dzisiejszym zwą ich dziennikarzami wogóle — w szczególności zaś noszą oni nazwy krytyków, recenzentów, sprawozdawców, kronikarzy; — różnie i rozmaicie zwą ich, wedle tego rozumie się, w jaki sposób który z nich umie z igły robić widły — z kozła barana, albo zależnie od tego, która z żył ludzkiej łatwowierności wydała mu się pomyślniejszą do eksploatowania. Otóż trzeba wam wiedzieć, że wszystkie podobne oceny, sądy, wyroki i werdykty są to cyfry do przyszłych billansów społecznych. Wielki mistrz, którego za dni naszych zwą redaktorem, rozsyła to wszystko razem codziennie — co tydzień — lub co miesiąc, w mocnem przeświadczeniu, że wiarogodność tych dokumentów wzrośnie w stosunku kwadratów z odległości od miejsca ich fabrykacyi. Rozsyła za umówioną ilość tynfów, sestercyj czy uncyj, ofiarowując przy tem do łez rozrzewnionym prostaczkom, których zwą abonentami w drodze łaski swojej szczególnej: przemija, karty geograficzne i inne suplementa tej samej natury.

Otóż jednym z dostarczycieli cyfr podobnych — inaczej mówiąc kronikarzem, byłem w swoim czasie i ja także. Nie widzę potrzeby taić tego i osłaniać, boć to finalnie w dniu sądu ostatecznego wyjdzie i tak na wierzch, daj Boże, aby nie ku zupełnej zagładzie mojej. Pisałem tedy one kroniki, a trzeba wam i to wiedzieć, że mię jak raz przygotowało wychowanie do zawodu wszelkiego, byle nie do tego, który sobie obrałem. Mój ojciec człek temporis plus quam perfecti, starał się dla mnie o wiedzę ile tylko mógł, czego mu ostatecznie tak bardzo za złe nie mam, ale zostawił mi ciężką spuściznę, za którą, daj Panie, aby go tam do rachunku nie pociągnięto. Składała się ona ze szkatuły w którą na miejsce walorów napakował skrupułów co się dało zmieścić, nadto wszczepił mi ślepą wiarę w zapanowanie dobrego na tej ziemi, jeśli nie dziś wieczorem, to pojutrze z pewnością, i wielki kult dla wszelkiego rodzaju bohaterów starożytości i nowych czasów. Jednem słowem byłem uprowidowany do spełniania professyi, którą sobie obrałem jak można najgorzej. Zamiast okularów ostrowidza, włożono mi okulary podobne do tych jakie noszą konie. Patrzyłem przed siebie, a nie patrzyłem na prawo i na lewo; miałem do spełniania zadanie spostrzegacza, a widziałem to co chciałem widzieć — nadto nic.

Tymczasem dary takie zamiast mnie zgubić odrazu, usłużyły mi bardzo w danej chwili. Kłamałem, ale kłamałem z dobrą wiarą zupełną, i to nadawało słowu mojemu wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Społeczność, o której w ten sposób informowałem, składała się w one czasy z ludzi, którzy żadnej nie mieli wspólności z tem, co ja im przypisywałem, ale którzy nie chcieli jeszcze, aby im to prawiono w oczy. Była to przejściowa epoka z ciemnoty do światła, która potrzebowała Tartuffe'owskiej maniery; człek miał wielką ochotę grzeszyć i grzeszył, ale rad był zostawić to w tajemnicy.

Dziennikarz uporczywie wmawiał wszystkim, że on jest człowiekiem idei — adwokat kazał się nazywać obrońcą wdów, sierot i słuszności wszelakiej, lekarz pragnął wszczepić wszystkim przekonanie, że jeśli w co wierzy, to w skuteczność rad, które za jego pośrednictwem daje nauka — literat jeśli co pobroił, to z westchnieniem wskazywał jako winowajcę wydawcę swojego — artyści z wielkiem jeszcze powodzeniem pozowali na entuzyastów i fanatyków sztuki, a innym już pośledniejszym działaczom, którzy rozebrali między siebie różne missye społeczne de spełnienia, dam pokój w tem miejscu.

Jednem słowem kłamał, udawał, i mistyfikował kto chciał, dziennikarstwo regestrowało to

wszystko, a że pocichu wołano o decorum, więc można sobie wystawić, iż podobne mnie krótkowzroczne mamuty miały do spełnienia misyą prawdziwą.

Co ja tam naobrażałem świętej prawdy naiwnością moją! Wiele ja podpisałem świadectw na cnotę wielkość i bezinteresowność, tego by nie zliczył, i jeśli tam było w onej robocie sporo podobnych do mnie, o czem nie jestem znowu bardzo przekonany, to mam nadzieję, że o owej epoce, przez którą przeszliśmy, nie wiele w przyszłości dowiedzą się ludzie prawdy.

Jednem słowem jestem autorem mnóstwa cyfr fałszywych, pośrednim winowajcą w sprawie podstępnego bankructwa, a w oczach własnych... no dajmy temu pokój czem ja jestem w przekonaniu własnem.

Wszystkiemu jednak koniec być musi — nawet złudzeniom niepoprawnego optymisty. Przyszły maczugi, które i mnie z mojej drzemki wyprowadziły. Zacząłem się rozglądać, patrzeć, słuchać, no!... gdybym wam chciał opowiedzieć to wszystko, co ja zobaczyłem po zrzuceniu moich okularów dobrej wiary, z pewnością wieczór noworoczny zastałby nas na tych samych miejscach.

— I otrząsnąłeś proch z koturnów twoich, i przeszedłeś od roboty brudnej do czyściejszej, i rozkochałeś się w cyfrach wiarogodnych, w bilansach i innych pełnych treści i znaczenia doniosłego robotach—dokończył szyderczo dziennikarz.

— Jak gdybyś widział. Zapragnąłem cyfr autentycznych, cyfr raz przecie — bilansów niewątpliwych, zapragnąłem za wszelką cenę prawdy, choćby najpodrzędniejszego porządku—byle prawdy.

— A więc stracony dla nas nieodwołalnie — melancholijnie konkludował literat.

— Za pozwoleniem! tego nie powiedziałem! I wyście już nie ci sami co byli dawniej. Zrzucacie maski, przestajecie być świętoszkami, wypowiadacie o sobie sami rzeczy niemożebne.

Wszystko zapowiada, że będzie można powrócić między was, i ułożyć wam bilans wiarogodny z waszych cyfr własnych, a nawet zdaje się, że ta chwila niedaleka.

Nie słyszałem repliki na te ostatnie wyrazy.

α.

TATRY.

(PANORAMA).

„Obejmijcie w ramiona nagą, a żywą przyrodę i do żył i do krwi waszej weźcie z niej wszystko, co jest umocnieniem..."

W te słowa przemawiał ongi do ludu jeden z owych duchów-orłów, co lubiły szybować po nad szczytami, i pławić się w chmurach, wśród wichrów i błyskawic.

Słów tych zapomniano, i cytując je przekonani jesteśmy, że ani jeden podobno z czytelników naszych nie byłby w możności odpowiedzieć na pytanie, kto ich autorem? Ale instynktowo zwraca się społeczeństwo ku tym źródłom życia i siły, które jej słowa powyższe wskazują.

I rok rocznie tłumy uwiędłe, półżyciem tylko wśród murów miejskich żyjące, śpieszą ująć w ramiona nagą, a żywą przyrodę, by poczerpnąć z niej tego, co jest umocnieniem. Pełen dzikich, surowych piękności zakątek tatrzański zaludnia się co roku spragnionymi wrażeń silnych, zdrowych, pochodzących bezpośrednio od przyrody nie od upajających, i w omdlenie w końcu wtrącających ducha, haszyszów cywilizacyi.

W góry! stało się hasłem wszystkich, którzy czują, że wśród prac i rozrywek miejskich słabnie ich żywotność, energia myśli, moc woli, że wyczerpuje się i zanika siła twórcza. Artystów, poetów, wogóle całą drużynę pracujących umysłowo najsilniej pociągają góry ku sobie. Ale i zwykły filister porzuca swoje wygodne, z komfortem urządzone mieszkanie, ciepły szlafrok i pantofle, po to, by choć przez tygodni kilka żyć wśród pierwotnych, przemysłem i sztuką nie złagodzonych warunków bytu, narażać się na niebezpieczeństwa, używać trudów i niewygód, wciągać w uciśnioną atmosferą miejską pierś dzikie powietrze gór, poić oczy widokiem horyzontów bezkreśnych, poddawać się czarowi potężnej i mimo piękność swą wrażenie grozy dającej przyrody.

Jest rzeczą zastanawiającą, że to zamiłowanie gór obudziło się u nas w chwili, gdy literatura zstępując z wyżyn romantycznych, zwróciła się ku płaszczyznom, ku powszedniościom bytu, gdy starano się wszczepić nam upodobanie do wszystkiego, co płaskie, mierne, nie wybiegające nad poziom, gdy potępiano surowo wybujałości romantyzmu, gdy nie ideałów szukać radzono, lecz przypatrywać się życiu rzeczywistemu, wziąć rozbrat z marzeniami, z poezyą, stąpać po ziemi, nie wzlatywać na szlaki podniebne. Wtedy niby jako odszkodowanie za straty idealne w innej poniesione dziedzinie wzięło sobie społeczeństwo na własność duchową ten skamieniały poemat romantyczny, zatytułowany: „Tatry." I poi się odtąd strzelistością gotycką jego skalnych wieżyc i rozhukanych wichrów górskich chłonie wiew.

Wśród gór tych mieszkaniec miasta zdobywa nastroje neutralizujące martwotę i banalność codziennego jego życia, on tu czuje inaczej, niż zwykle, potężniej, śmielej, tu dusza jego wzlatuje na wyżyny, których nie dosięgłaby w innem otoczeniu. To też nie wahamy się utrzymywać, że podróże w Tatry stały się w życiu naszem czynnikiem ważnym, posiadającym głębsze i donioślejsze znaczenie, niżby się to z pozoru zdawać mogło.

Umiłowany ten zakątek dostarczył już poezyi naszej i malarstwu niejednego wspaniałego i oryginalnego motywu. Nazwisk takich jak Witkiewicz, Tetmajer nie potrzebujemy tu chyba przypominać czytelnikom. Znane im są chociażby ze sprawozdań naszych utwory artystów tych, w atmosferze gór Tatrzańskich zrodzone. Obecnie grono malarzy postanowiło dać nam obraz tej krainy takiej dziwnej, tak odmiennej od płaskich obszarów, do których oko nasze przywykło.

I powstał obraz olbrzymi, panorama, którą od miesiąca przeszło mieszkańcy Warszawy podziwiać mogą. Widok wzięty jest ze szczytu zwanego „Miedziane" położonego w samym środku Tatr, i z którego daje się ogarnąć przestrzeń bardzo rozległa. Dokoła piętrzą się wirchy: Murań, Hawrań, Łomnica, Lodowy, Polski Grzebień, Rysy, Mięguszowiecki, Mnich, Krywań, Swinnica i innych tyle. U stóp Miedzianego, błyszczy się świetnie namalowane „Morskie Oko," wyżej pod Rysami „Czarny Staw."

Po drugiej stronie Miedzianego, w dolinie błękitnieje „Pięć stawów polskich."

Na zachodzie w dali widnieją Tatry Orawskie, ku północy Beskid i Pieniny.

Na północo wschód otwiera się widok daleki, to dolina Białej Wody, wiodąca na nizinę nowotarską, na południo-zachód rozciąga się nizina Liptowska. Krajobraz olbrzymi.

Stawiano rozmaite zarzuty panoramie. Między innemi poczytywano za błąd malarzom, że z Miedzianego, a nie z innego wyższego punktu zdjęli widok.

Zarzut to bardzo nieszczęśliwie skierowany. Z innych szczytów widok jest rozleglejszy bezwątpienia, ale efekt skał piętrzących się ponad głową widza, efekt najpotężniejszy w górach byłby zupełnie straconym. Raczej żałować trzeba, że nie obrano niższego jeszcze punktu. Zapewne jednak było to niemożliwem, zwłaszcza, gdy chciano ogarnąć o ile możności najobszerniejszy widnokrąg.

H. C.

PRACA KOBIET.

(Dokończenie.)

Szewctwo.

I to rzemiosło w swoim czasie stanowiło przedmiot wykładów w szkole rzemiosł, dziś wszakże zarzucono je i słusznie zresztą, bo nie uważamy je za odpowiednie dla kobiet.

Od niepamiętnych czasów jest ono zmonopolizowanem przez mężczyzn; konserwatyzm zatem kładzie tamę usiłowaniom kobiet, pragnących wtargnąć do tej dziedziny pracy.

Zresztą i tak przeciętna dziewczyna, nawet z niższej klasy, nie sprostałaby czeladnikowi w uderzaniu młotkiem (zbijanie skóry na obcasy) i w innych czynnościach. Szycie kamaszy, butów, i wogóle twardego obuwia nie jest zajęciem lekkiem; nie znaczy to jednak, żeby kobiety odwracały się zupełnie od szewctwa—przeciwnie, niechaj wyrabiają lekkie, balowe pantofelki o drewnianych obcasach i cienkich podeszwach, dziecinne trzewiczki, które wymagają nawet lekkiej ręki, oraz pantofle domowe męzkie. Gdyby jaka kobieta założyła sklep i warsztat tego rodzaju i wykształciła pod okiem fachowców-mężczyzn grono niewieścich pracownic, któreby potem potrafiły wyprodukować uczciwie towar, to napewno prawie cieszyłaby się powodzeniem. Właściwiej przecie, żeby obuwie damskie było dziełem samych kobiet, gdyż, pomijając już względy przyzwoitości (mówimy o przymierzaniu obuwia w sklepach, gdzie usługują i kupują mężczyzni), potrafią one łatwiej uczynić zadość i zrozumieć wymagania klientek.

Ta gałęź pracy nie była jeszcze zdobywaną na seryo, więc dotychczasowemi niepowodzeniami niech się kobiety nie zrażają.

Rękawicznictwo.

Zajęcie to oddawna znajduje się w połowie w rękach kobiet.

Mówimy w połowie, bo najważniejszą czynność, przykrawanie, spełniają niestety mężczyzni.

Dlaczego? Bo to praca ciężka. Trzeba zręcznie i z siłą władać nożycami, od których niebawem tworzą się na palcach duże nagniotki, szpecące rękę, no i — posiadać kilkoletnią praktykę, żeby nie psuć drogich skórek.

Kobiety za to szyją rękawiczki, przykrajane przez czeladnika; robota to ręczna, wymaga ona sztuki biegłego używania igły i znajomości specyalnych ściegów. Tylko haft na wierzchu dokonywa się niekiedy przy pomocy maszyny. Płacą tu od sztuki (akord) stosownie do rękawiczek 5, 8, 10 a nawet 15 kop., od pary, zależnie od wykończenia.

Pilna pracownica może zarobić 70 kop. do 1 rubla dziennie.

Widzimy zatem, że zajęcie to jest stosunkowo mało popłatne. Nie radzimy zbytnio garnąć się doń wobec silnej konkurencyi ze strony zagranicy i dużej podaży rąk. Mężczyzni, trudniący się przykrawaniem, zarabiają trzy razy tyle, ale wątpimy, czy kobiety potrafiłyby ich zastąpić.

Kto chce szyć rękawiczki, musi, jak powiedzieliśmy, władać dobrze igłą. To warunek dla kandydatki, która pomimo to musi jeszcze nabierać wprawy, albowiem szew rękawiczniczy ma pewną odrębność, jak to łatwo można się przekonać, spojrzawszy uważnie na sumiennie wykończony towar. Najtrudniejszem jest wyszywanie jedwabiem wierzchu; trzeba tu dużo biegłości, albowiem najlżejsza niedokładność wywołuje odrzucenie roboty przez właściciela warsztatu.

W parę miesięcy jednak, idąc za wskazówkami znających się na rzeczy, przeciętna osoba może się dostatecznie wykwalifikować w tym fachu.

M. N.

TEATR

Maurycy Maeterlinck: Intruz.

Tłómaczona z francuzkiego, banalna komedyjka salonowa na początek, płaska farsa niemiecka na koniec, a pomiędzy niemi wstrząsająca do głębi fantazya Maeterlincka, oto treść wtorkowego przedstawienia amatorskiego w sali Muzeum.

O tej środkowej części widowiska mówić tylko zamierzamy, obydwie bowiem sztuczki, któremi resztę wieczoru wypełniono, nie nadają się do sprawozdania. Są to poprostu rzeczy, o których nie ma nic do powiedzenia. Na scenkę amatorską dostały się zapewne po to, by publiczność żywym przykładem pojaśnić o nicości, do której doszedł teatr współczesny, nicości skłaniającej umysły w rodzaju Maeterlincka do poszukiwania dla sztuki dramatycznej dróg zupełnie nowych.

Zapoznajmy się tedy z „Intruzem".

Prowadzony przez trzy wnuczki wchodzi na scenę niewidomy starzec. Za nimi ukazuje się dwóch mężczyzn w średnim wieku. Jeden to ojciec trzech sióstr, drugi, jak się zdaje, brat jego. Rodzina cała zgromadziła się tutaj pod wrażeniem ulgi po długiem, bolesnem naprężeniu.

W pokoju sąsiednim spoczywa chora, której życiu przestało nakoniec zagrażać niebezpieczeństwo. Lekarz zapewnił, że najgorsze chwile minęły.

Stroskana rodzina może odetchnąć nareszcie. Wieczór majowy, pogodny, światło miesiąca wpada do pokoju. Cisza. Ale w tej ciszy coś się dzieje, w tej ciszy coś się rozstrzyga. Odczuwa to niewidomy.

Zdaje mi się, że tu stać się ma coś złego — powiada. — Już nie zobaczę mojej biednej córki — dodaje po chwili.

W ogrodzie ucichły słowiki.—Ktoś wszedł do ogrodu — mówi starzec. — Niepokój jego rośnie. Naprożno obecni starają się rozproszyć jego obawy, napróżno przemawiają do jego rozsądku. Na schodach słychać głośne stąpania. To zapewne przyjechała siostra, której przybycia oczekiwano. Stąpanie rozlega się pod samemi drzwiami, ale nikt nie wchodzi, na schodach nie ma nikogo.

— Tu ktoś wszedł — powiada starzec, — kto to jest? Ja nie mam oczu, wy co widzicie, powiedzcie mi, kto siedzi z nami przy stole?

Niewidomy odczuwa obecność tajemniczego gościa, którego widzący nie dostrzegają. Niepokój starca wzmaga się, dochodzi niemal do szału.

— Okłamujecie mnie — woła, — tu jest ktoś. Obawy jego udzielają się obecnym. Już i oni odczuwają, że stanął między nimi jakiś gość niewidzialny, jakiś intruz straszny. W tem miejscu groza utworu dosięga kulminacyjnego punktu. Przeczucie staje się pewnością, teraz czas, by na scenę wystąpiło nieszczęście. Otwierają się drzwi. Z pokoju chorej wychodzi siostra miłosierdzia, i w powietrzu kreśli znak krzyża.

— Umarła! — wołają obecni.

Tak, umarła. Stary ślepiec miał słuszność.

Utwory Maeterlincka zarówno na zachodzie, jak i u nas dostarczają materyału do namiętnych sporów. Ma poeta belgijski zaciekłych przeciwników, ma też i fanatycznych czcicieli. Sąd o twórczości jego zależy w znacznej mierze od poglądu na świat, jaki sobie sądzący wyrobił, czy przejął od innych. Dla materyalisty zjawiska zajmujące Maeterlincka, objawy zagadkowe w rodzaju przeczuć, snów proroczych, jasnowidzeń, poprostu nie istnieją, są zbiegiem okoliczności pozbawionym znaczenia, lub chorobą ciała. Pozytywista zalicza je do sfery „niepoznawalnego," a jako takie wyklucza je ze swoich dociekań. Dla jednego, jak dla drugiego twórczość Maeterlincka to majaczenie szaleńca, to objaw newrozy. Ale istnieją też poglądy, materyalistycznym krańcowo przeciwne. Przyjmijmy raz, że wszechświat posiada duszę, której dusza ludzka jest drobną cząstką, a Maeterlinck wyda nam się prorokiem, odkrywającym nici tajemnego związku, między duszą człowieczą a duszą wszechświata, i dramaty jego ze swą formą prostą, ze swym dyalogiem jednostajnym i naiwnym innego zupełnie niż poprzednio nabiorą dla nas znaczenia. I pojmiemy wtedy, że bohaterem „Intruza" nie jest żadna z postaci snujących się po scenie, ale siła niewidzialna, za której przyczyną odbywa się tajemnicze przeobrażenie — śmierć. I zobaczymy, że wstrząśnienie towarzyszące tej przemianie odczuwa przyroda cała: milkną słowiki, w cichem powietrzu zaczynają szumieć drzewa, odzywają się dźwięki, których przyczyny dociec niepodobna. A temu wzruszeniu przyrody sympatycznem drżeniem odpowiadają struny dusz, więzom materyi mniej poddanych, więc dusze starców, kobiet, dzieci. I owiewa nas atmosfera tragizmu stokroć potężniejszego, niż ten, z którym zwykle na scenie spotykać nam się przychodzi. Myśl nasza leci w nieskończoność, tonie w głębinach bezdennych.

Maeterlinck nie przeznaczał utworów swoich na scenę, uważał je za właściwe jedynie dla teatru maryonetek. To też wśród wielu zajmujących pytań, jakie nastręczało przedstawienie wtorkowe, nasuwała się i kwestya sceniczności „Intruza." Nastrój, który zapanował na sali, wzruszenie, którego objawy dostrzegaliśmy wśród publiczności pod koniec sztuki, przekonywają nas, że „Intruz" w zupełności kwalifikuje się na scenę, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, że nawet wady i niedokładności amatorskiego przedstawienia nie zdołały zniweczyć potężnego efektu tej oryginalnej, głębiny dusze poruszającej fantazyi.

Przedstawienie poprzedzone zostało odczytem p. Gawalewicza o Maeterlincku.

Z wyraźnem lekceważeniem autor „Szubrawców" odzywał się o autorze „Ślepców." W lekceważeniu tem doszedł aż do porównania Maeterlincka z... Rozbickim. Wogóle pogadanką swoją dowiódł prelegent zupełnej nieudolności wnikania w mistyczne głębie tego wielkiego ducha.

H. C.

Władysław Sterling.

JEZIORO.

Na jeziora drgającem szafirowem łonie,
Trzcina szemrze i lilii łodyga przyklęka,
I oczy mrugające gwiazd iskrzą mu skronie,
I róży barwy kładzie mu mleczna jutrzenka.

Czasem wietrzyk leciuchny na powierzchnię wionie,
I snuje się po tafli przędziwa tkań miękka,
I błyszczy kryształ w kwiatów i blasków koronie,
W którą go przystroiła niewidzialna ręka.

A w wodzie widzisz nieba obraz uśmiechnięty...
Tylko na dnie, w głębinie, pod czarem przezroczy,
W szlamu i mułu toni grzęzną wodne męty,

I senna i ponura ciemność dławi oczy,
I pełzający robak korzeń kwiatu toczy. .
Tak został ludzki, wolny duch w ciało zaklęty...

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Pomiędzy papierami zauważył dużą, grubą kopertę, adresowaną wprost do niego. Po charakterze pisma poznał rękę Szymonowicza. Roz-

darł śpiesznie kopertę i wyciągnął z niej arkusz porządnie zapisanego i złożonego papieru.

Było to urzędowe zrzeczenie się przez Szymonowicza godności prezesa spółki zbożowej, z prośbą do rady zarządzającej o łaskawe wycofanie go z wszelkiego udziału w interesach towarzystwa. Tłómaczył się w raporcie brakiem zdrowia i dostatecznej energii do prowadzenia rozwijających się coraz bardziej interesów stowarzyszenia.

Poczem przejrzawszy dokładnie, jak uczciwy i akuratny kupiec wszystkie pozycye, zabrał się do spisania szczegółowej dyspozycyi na wypadek śmierci. Skończywszy, schował papier do kieszeni, ażeby go w domu jeszcze raz z Tigranesem sprawdzić i wyszedł na miasto.

Ohana przeszedł ulicę, majdan, wstąpił na pocztę, a potem ruszył prosto do kancelaryi stanowego dla załatwienia niektórych formalności prawnych, wymagających koniecznie jego obecności osobistej. Rad był, że miał trochę interesów w tem miasteczku, bo go wspomnienie niedawnego jarmarku drażniło i przejmowało tęsknotą. Przecież trzy tygodnie temu ona tu była, była razem z nim; chodzili po mieście i spędzili kilka godzin pod jednym dachem. Przypominał sobie każdy szczegół rozmowy, każdy ruch jej, każdy szept rozkoszny.

Postał chwilę nad rzeką, w której się przeglądał w zieleń spowity Mohilów z piętrzącemi się nad stłoczoną masą domów białemi wieżycami ormiańskiej katedry i okrągłemi kopułami licznych cerkwi. Smutek ścisnął mu serce na wspomnienie ostatniej ich obojga bytności w tem mieście, i nie czekając dłużej odjechał do domu.

Nazajutrz po obiedzie Ohana udał się z Tigranesem do ogrodu, by wypróbować pistolety, które służyć miały do jutrzejszej rozprawy śmiertelnej.

Był spokojny dnia tego; jakaś rezygnacya go opanowała, zdał się na los i starał nie myśleć o tem, co go czekało.

Wyjąwszy arkusz papieru z kieszeni narysował na nim kółko w samym środku i przybił na płocie, potem wziąwszy z rąk ponurego Tigranesa podłużne pudełko, wyjął z niego jeden pistolet i przyglądał mu się, ocierając z kurzu, a przytem mówił jak gdyby do siebie:

— Napis, widzę, nie znikł. Pamiętasz Tigranes, jakeśmy się śmieli odczytując ten napis w domu: „W szczęściu i nieszczęściu niech ci służy.” Jakie to trafne!...

I śmiał się sarkastycznie.

— A no zobaczymy!

— Tigranes, proszę cię licz!

To rzekłszy zmierzył w papier, a na komendę Sacharyana wystrzelił. Huk rozległ się po ogrodzie, a odbiwszy się o kasztany alei, zastygł w chłodnawem powietrzu.

— Trafione w sam środek! — zawołał Tigranes.

— Nie zapomniałem więc! To dobrze, to pocieszające.

Wziął drugi pistolet, oddając pierwszy młodemu Ormianinowi do nabicia.

— Kulą w kulę! — wykrzyknął i strzelił.

— Trafione!

Obie kule przystawały do siebie, papier był cały.

Tigranes nie wychodząc ze swej chmurnej zadumy, podał mu dopiero co nabity powtórnie pierwszy pistolet.

— Kulą w kulę! — krzyknął Ohana i strzelił.

I tym razem nie chybił.

Na twarzy mu świeciło ponure zadowolenie.

— Trzy razy to jeszcze nie sztuka, ale trzy po trzy, to coś może znaczyć! Jeżeli się uda, to skoro on mnie wpierw jutro nie sprzątnie, serce mu jak tę deskę przedziurawię!

Śmiał się sucho, ponuro, i strzelał, a za każdym razem kula nie chybiała ani na włos celu.

Już nawet zdawał się nie mierzyć, był pewnym, że trafi—i trafiał.

Kiedy ostatni wystrzał rozległ się w powietrzu, Ohana zwrócił się do zdumionego Tigranesa i, patrząc mu prosto w oczy swym przenikliwym, błyszczącym wzrokiem, spytał:

— Czy mogę się teraz mierzyć z tym stepowym obywatelem?

— Panie! -- zawołał Tigranes, — pan nawet z dyabłem możesz się próbować na pistolety.

— Więc nie zapomniałem. Nauka francuzkiego wiercipięty przydała mi się na coś!

Kiedy domawiał tych słów, na skraju alei zjawił się Palej, a zbliżywszy się do Ohany, rzekł zdejmując z głowy okrągły filcowy kapelusz.

— Domnule, jakiś człowiek stoi przed pałacem i chce się z panem osobiście rozmówić.

Niech tu przyjdzie.

— A szczo tobi treba? — spytał przybyłego, gdy Palej odszedł.

— Lest maju.

— Wid koho?

— Wid pani — odrzekł chłop, a odwijając z bojaźnią i ostrożnością wielką list, który wyjął zawinięty w łachman pstry z zanadrza, podał go Ohanie. Ten ostatni rozdarł szybko kopertę i czytał:

„Panie!

„Przypuszczam, że coś musiało zajść pomiędzy mężem mym i panem, co takiego, nie wiem, ale przeczuwam jakieś straszne nieszczęście, katastrofę. Sumienie mi spokoju nie daje, bo jeżeli co złego się stanie, to moja w tem będzie wina, moja i tylko moja. Pozwoliłam opanować się uczuciu, o którem powinnam była zapomnieć, kiedy mię los na inną popchnął drogę. Żałuję, że się inaczej stało — proszę zatem pana, byś ten kraj, dla ciebie niefortunny opuścił, zapomniał o nim—i był szczęśliwy: ja bo jestem bardzo a bardzo nieszczęśliwą. Ja nie wiem co zaszło, dlatego boję się i drżę na myśl straszną. Uprzedzam przeto pana, że uczynisz mnie najnieszczęśliwszą istotą na ziemi, jeżeli mężowi memu stanie się co złego. On i tak cierpi okrutnie z mojej przyczyny, on, taki szlachetny, on co mnie tak kocha... Jabym pana znienawidziła, przeklęła, gdyby, broń Boże, nieszczęście na niego jakie spadło. Pan mnie rozumie! Niech więc pan uczyni tak, jak proszę. Mam dziecko i żyć jeszcze muszę dla niego. Zapomnij pan, powtarzam, i bądź szczęśliwy!"

H.”

Kiedy to czytał ręce mu się trzęsły a twarz kurczowo ściągała; stał się blady, jak ściana, czuł w tej chwili niby przepaść u stóp swych, w którą lada chwila miał się zwalić na samo dno...

Odruchowo zwinął papier i schował do kieszeni, następnie zwracając się do Tigranesa rzekł głosem bezdźwięcznym po ormiańsku:

— Sułtanka przepadła, znikła, nie ma jej...

A widząc, że oberwany posłaniec wciąż stoi, wyjął z portfelu trzyrublowy papierek i podawszy mu go powiedział:

— Majesz!

— A odpisu ne bude?

— Ne bude.

Rzekłszy to Ohana, szybkim krokiem oddalił się od Tigranesa, przed którym chciał ukryć tłumione w piersi łkanie.

Więc ona go się pozbyć chciała, więc zrywała stanowczo, nieodwołalnie zrywała z tą miłością, w którą on wierzył, więc wracała nawet z duszą do męża, którego przecież kochać nie mogła?... Kazała mu wyjeżdżać, a przewidując pojedynek, pod groźbą nienawiści, nieszczęścia, zabraniała mu zabić, może nawet zranić swego męża. O jego losie nie wspominała, choć przecież i on mógł zostać zabity i to zabity z zimną nienawiścią. On dla niej już przestał istnieć jako ktoś drogi, umiłowany, ukochany na życie i śmierć, stawał się tylko przeszkodą w życiu, przyczyną nieszczęść?!

I powziął do niej żal wielki, niezmierny, za jej bezwzględność, za okrucieństwo, egoizm — a zarazem zrobił stanowcze postanowienie, by jej dowieść jutro, jak ją kocha, jak bardzo kocha, skoro zrobi z siebie ofiarę, skoro poświęci się jej życzeniu.

Chce, by się Szymonowiczowi nic złego nie stało; dobrze, nic mu się złego nie stanie, choćby on sam miał zginąć. Powtarzał sobie to, jak ten, co stara się gwałtem coś zapamiętać, a nie może, więc męczy się.

Żałość trzęsła nim zmieszana z tęsknotą, bez nadziei, gryzącą, trującą; czuł, jak łkanie tłumione rozsadzało mu piersi, a w oczach migotało i migotało.

Nie mógł już dłużej wytrzymać, i wybuchnął gwałtownym, spazmatycznym płaczem po raz pierwszy w życiu, usiadłszy w foteliku i głowę ukrywszy w dłoniach.

Poprzez łzy płynące obficie wyrwała mu się skarga z drżących ust:

— Więc nie ma Helci, niema jej... Wszystko skończone... wszystko?...

Płakał, płakał, mógł, bo był sam, a chciał, by razem z tymi łzami spłynęła miłość cała, teraz już stająca się dlań cierpieniem, ciężarem — i nieszczęściem prawdziwem.

VIII.

Jeszcze przed siódmą zjechały się obie partye: Szymonowicz przybył pierwszy wraz z sekundantami, a dopiero w kwadrans później na wązkiej drodze zaturkotał lekki, elegancki wolant Ohany, z którego wysiedli Antoniewicz, Tigranes i doktór.

Dzień był pochmurny, szary, zanosiło się na stałą słotę, którą czuć już było w chłodnem, jesiennem powietrzu. Wiatr na stepie dość silny, tu w lesie cichł i łagodniał; za każdym powiewem pożółkłe liście dębiny spadały na ziemię i zaścielały ją powoli a ciągle.

— A co doktorze zimno? — zwrócił się Russo do młodego lekarza, zdejmującego flegmatycznie z faetonu małą walizeczkę skórzaną.

— Chłodno, panie, chłodno, ale wnet będzie gorąco.

Te wyrazy przypomniały sekundantom ich obo-

wiązek. Russo powiedział kilka słów zmierzających do pojednania, to samo zrobił Antoniewicz i Stepanow — jeden tylko Tigranes milczał posępny.

Ale Szymonowicz, z którego twarzy bladej, nie schodził wyraz ponury i nienawistny, położył koniec tej gawędzie, mówiąc:

— Napróżno się panowie trudzicie, ja w żadne kompromisy wchodzić nie myślę; sądzę, że i pan Ohana jest tego samego zdania.

— Tak, masz pan słuszność — potwierdził zapytany, rzucając niedopalony papieros na trawę.

— Lepiej stawajmy na metach — dodał pośpiesznie. — Ot, pan Stepanoff pistolety ma gotowe, a kroki są już odmierzone. Deszcz wisi w powietrzu, lada chwila zacznie padać i może nam proch w zamkach zamoczyć.

To mówiąc uśmiechnął się ironicznie — dzisiaj był już panem siebie, swych nerwów, w żyłach czuł zimną krew, w sercu nienawiść, a w duszy postanowienie niezmienne, jakie wymocował na sobie po długiej stoczonej z sobą wczoraj walce. Zresztą czuł owiewające go zewsząd tchnienie przeznaczenia, a ono czyniło go obojętnym na rezultat rozprawy.

— Myśmy zrobili swoje — zakończył Russo— nie chcecie się panowie porozumieć, to trudno, wasza wola.

— Panowie, baczność — komenderował Russo, patrząc na Szymonowicza, który kurczowo ściskając ozdobny pistolet w dłoni, mierzył w przeciwnika.

— Raz... dwa... trzy...

Rozległ się trzask i prawie jednocześnie radosny okrzyk Antoniewicza.

— Chybione.

— Nie koniecznie — zaprzeczył doktór, — kula drasnęła ucho.

Istotnie z ucha stojącego jak posąg, z zamarłym wyrazem na twarzy Ohany, sączyła się wąziutkiem pasemkiem krew i spadała mu na ramię.

On nie czuł widocznie rany, dopiero słowa doktora wyprowadziły go ze stanu bierności, pochwycił się za ucho i powiedział spokojnie:

— To nic, drobnostka.

A widząc, że doktór zabiera się do przewiązywania, rzekł ironicznie:

— Daj pokój, konsyliarzu. Nie warto twojej fatygi dla takiej bagateli. Zaczekaj, może się co poważniejszego nadarzy.

A potem zwracając się do Antoniewicza zawołał głośno:

— Licz pan, strzelamy!

I celował lecz nie w Szymonowicza, zbladłego, wzruszonego, z zaciśniętemi usty, a we wronę, co jakby umyślnie w tej chwili nadleciała i, usiadłszy na drzewie, pod którym stał tenże, pokrakując przyglądała się pojedynkowi.

Antoniewicz donośnym głosem zakomenderował:

— Raz... dwa... trzy...

Rozległy się strzały, nieruchomą, wyniosłą postać Ohany otoczył kłąb brudnego dymu, i w tejże chwili do nóg Szymonowicza spadła zabita wrona.

— Chybił!

— Trafił! — zawołał Ohana.

— Co?

— Wronę!

— Wronę, bo pan Ohana do wrony mierzył— wtrącił śmiejąc się podstępnie doktór.

Szymonowicz drgnął, ale nic nie rzekł, nogę założył na nogę i czekał jednego jeszcze strzału, spoglądając zdziwiony na leżącego u stóp swych pokrwawionego ptaka.

— Oto pistolet nabity — rzekł Antoniewicz, zbliżając się do przeciwników i podając im broń.

— Kiedy ja już strzelać nie będę — odparł spokojnie a zimno Ohana.

— Dlaczego?

— Bo najprzód nie widzę żadnego ptaka, na wiatr pukać nie myślę, a pana Szymonowicza nie czuję potrzeby zabijać.

Na te słowa wypowiedziane wolno, swobodnie, Szymonowicz drgnął znowu i twarz mu się gniewnie ściągnęła — zawołał więc porywczo:

— Na co te gawędy! Mierz pan i strzelaj, szkoda czasu!

— Widziałeś pan przecie — dodał z ironią w głosie, — że gdyby nie ręka, która mnie zawiodła, byłbyś pan legł na tej trawie martwy.

Russo pragnął, by sprawa wzięła inny obrót, a miarkując z odezwania się i z miny Ohany, że ten jest chętny do zgody, odezwał się do stojących na swych miejscach zapaśników:

— Zdaje mi się, że panowie macie sobie coś do powiedzenia. Zostawiamy was więc sam na sam, obgadujcie między sobą całą sprawę swobodnie, a może przyjdziecie do jakiego zgodnego wniosku. Pierwsze strzały już padły, staliście śmiało przed wrotami śmierci, los was oszczędził, może ten sam los wskaże wam inną drogę wyjścia.

— A my, panowie — rzekł do reszty, — pójdziemy do naszych szarabanów, napijemy się wódki, bo dalibóg chłodno i głodno.

I poszli. Przeciwnicy zostali sami.

Szymonowicz widząc, że sekundanci i doktór znikli już za drzewami, zbliżył się pierwszy do Ohany i rzekł, a twarz mu drgała nerwowo:

— Dlaczego pan nie strzelił do mnie powtórnie, kiedy fantazya panu przyszła za pierwszym razem zabić wronę?

— Bo ja postanowiłem sobie nie zadrasnąć pana wcale.

Szymonowicz, któremu na te słowa twarz poczerwieniała, spojrzał nań nienawistnie i zawołał:

— Ja wspaniałomyślności pańskiej nie żądam, mnie ona nie potrzebna; ja jej nie chcę, ja jej nie pragnę!...

I głos mu wiązł w gardle. Ohana zaś spokojnie odrzekł:

— Wiem o tem i żadnej wspaniałomyślności nie mam na myśli. Pozwól pan i nie przerywaj, niech mu powiem, co mi na duszy leży.

Mówił jak pierwej wolno, łagodniej jednak trochę, w głosie mu dźwięczał smutek okryty.

— Ja do pana już nienawiści nie czuję, nie mam pretensyi żadnej; widzę w panu podobnie jak w sobie ofiarę losu. Tak panie, — ja, pan i ona jesteśmy ofiarami nieubłaganego fatum, z którem trudno walczyć skutecznie. Pan wie, że kochanie moje, to nie powszedni, elegancki romans, których tyle jest na porządku dziennym. Pan to wie, nieprawdaż, i dlatego mnie pan nie mierzy zwykłą skalą miejskiego lowelasa. Wedle sądu ludzkiego, ja przed panem zawiniłem, ale ja jestem pewny, że pan inaczej czuje. Gdyby nie ten nikczemnik Stefan — tego ja nienawidzę i tym pogardzam — może byś pan o niczem nie wiedział — ale stało się, do tego musiało przyjść.

Zatrzymał się jakby dla nabrania oddechu, bo mu wzruszenie piersi zapierało, a potem ciągnął dalej coraz to miększym głosem:

— Pomyśl pan, coby wynikło, gdyby jeden z nas poległ? Jeżelibym ja pana zabił, ona by mnie przeklęła, znienawidziła, a ja tego nie chcę; jeżeli zaś ja umarłbym przez pana, to miałby pan nieszczęście w domu, ona by z żalu zwaryowała chyba. Pan to rozumie?... Dlatego zaniechajmy już dalszego strzelania...

Szymonowicz milczał, z twarzy mu znikła zaciętość i nienawiść; słuchał i patrzał na Ohanę z pewnem wzruszeniem.

— Jam się już rozczarował, mnie już nic nie wiąże z życiem, jest ono prawie że obojętnem dla mnie — dlatego też ja wolny od uprzedzeń, od nienawiści, powtarzam panu: zaniechajmy tego strzelania. Ja się obowiązuję dzisiaj jeszcze opuścić na zawsze ten kraj niefortunny, z którym nic mię już nie wiąże, będzie pan wolny, nikt panu na drodze nie stanie. Jeżeli się pan nie zgadza, to stawajmy na mety. Ja dla formy strzelę gdzie w bok, bo w pana trafiać nie będę. Niech się pan nie pyta, jakie mam do tego powody bliższe, niech to zostanie przy mnie.

Chciał jeszcze dalej mówić, lecz Szymonowicz, na którego obliczu już tylko smutek było widać, wyciągając doń przyjaźnie rękę, przerwał mu:

— Pan ma w sobie dużo szlachetności. Zrób pan tak, jak mówisz w tej chwili: opuść ten kraj i ulżyj sobie. Masz pan słuszność, jesteśmy wszyscy troje ofiarami nieujętego losu. Ja stary, ja wiem co mnie czeka, ja wszystko przewiduję... Pan młody... Lecz dajmy pokój: po co o tem mówić, to samo przyjdzie.

I ściskając mu powtórnie rękę, dokończył:

— Bądź zdrów! Jedź, ja życzę ci ulgi i ukojenia, którego sam mieć nie będę z pewnością.

Zaczem ruszyli razem ku stojącej opodal gromadce, raczącej się wódką, którą rozlewał w myśliwskie kieliszki Russo.

Ujrzawszy ich idących i rozmawiających spokojnie, zawołał:

— A co, nie mówiłem, że oni się pogodzą. Oho, już ten Ohana ma łeb, on zawsze w końcu coś wymyśli!

— Więc zgoda? — pytali wszyscy razem.

— Zgoda! — odpowiedzieli jednocześnie Szymonowicz i Ohana.

Z twarzy Tigranesa biła radość, cieszył się, że dobroczyńcę swego widział całym, żywym i że ta sprawa zakończyła się w ten sposób. A jeszcze więcej się uradował, kiedy mu Ohana, wsiadając do powozu powiedział:

— Skończyło się, już mnie nic nie wiąże z tym krajem, stał się on dla mnie obcym. Jeszcze dzisiaj porzucam go na zawsze. Pojedziemy znowu na Wschód, będziemy się tam znowu tułać wśród braci naszych, hajów.

— Panie, jakież to szczęście! — wyszeptał w upojeniu Tigranes.

Ale Ohana nic na to nie odrzekł, tylko smutno nań spojrzawszy, pogrążył się w zadumę.

* * *

W tydzień później już cały powiat wiedział, że Ohana opuścił Bessarabię, że Nikoreszty polecił Tigranesowi sprzedać, a ze spółki zbożowej wszystkie kapitały wycofać. Tłómaczono sobie w różny sposób ten jego nagły wyjazd, lecz nikt prawdziwej przyczyny nie znał.

Przebąkiwano też przez czas niejaki o zajściu nikoreskiego magnata z Szymonowiczem, tak jednak niejasno, tak nieokreślenie, że nikt do tych pogłosek wagi nie przywiązywał. Potem i to ucichło — przebrzmiało.

O Ohanie wszyscy zapomnieli, tylko w trzech sercach została po nim pamięć niezatarta, nie zgładzona, w nich on żyje i żyć nie przestaje dotychczas...

KRONIKA.

Zdrowie.

Z nadesłanego redakcyi naszej sprawozdania d-ra Ołtuszewskiego dowiadujemy się.

Że przez rok zeszły 1895 zgłosiło się do jego zakładu dla osób dotkniętych zboczeniami mowy ogółem 200 chorych. Cyfra ta wedle kategoryi cierpienia dzieli się tak: niemych 41 — bełkocących i mówiących wadliwie 51 — z mową nosową 7 — jąkających się 101.

Z ostatniej kategoryi 101 leczyło się osób 16; z tych 15 pozbyło się tej wady zupełnie a 1 doznała znacznego polepszenia.

Z 7 dotkniętych mową nosową leczyło się 2 dzieci wieku przedszkolnego, które tem zboczeniem dotknięte były, jak tylko rodzice zapamiętać mogą. Oboje odzyskali mowę prawidłową.

Z pomiędzy ogólnej liczby 51 bełkocących i wymawiających wadliwie, poddało się kuracyi 6 osób dorosłych i 3 dzieci. Wyleczyli się wszyscy.

Na 41 wypadków niemoty leczyło się dzieci 4-ro i 1 osoba dorosła — wszyscy z pomyślnym zupełnie rezultatem. W tej liczbie na szczególną wzmiankę zasługuje zdaniem doktora O. chłopczyk 7 mio letni z bardzo upośledzoną intelligencyą i dwoje dzieci głuchoniemych pozornie, a więc nie rozumiejących mowy, ale rozróżniających tony i szmery. Dobry wynik usiłowań podjętych dla tych dwojga ostrzedz powinien rodziców, aby przed oddaniem dziecka do instytutu głuchoniemych, poddali je pierwej badaniu lekarskiemu. Pomimo bowiem tego, iż dziecko zdradza oznaki zupełnego nierozumienia tego co się doń mówi, może ono przy pomocy ćwiczeń zachować i rozwinąć resztki swojego słuchu, a w następstwie ukształcić się wyżej, niż na to programaty instytutów głuchoniemych pozwalają.

Z prasy.

Dosyć ożywioną polemikę spotykamy na szpaltach naszej prassy, a rzecz zasługuje tym razem na uwagę o tyle baczniejszą, że to nie już o żadne osobiste zaczepki chodzi w tej sprawie, ale o zasadę—prawdziwą zasadę. Nadto wzięcie tej lub owej strony w sporze, wystawia samo przez się świadectwo etycznej wysokości, z której się spierający na moralność podstawową zapatrują. Rzecz ma się tak:

Doktór Wszebor podał projekt, aby totalizator warszawski oddał część łupów swoich zebranych dla niepoczytalnych, moralnie zaniedbanych i cierpiących nieuleczalnych, dobroczynności publicznej. Jedne pisma wzięły stronę wnioskodawcy — innym myśl sama o podobnej tolerancyi wydaje się ujmą dla społeczności, któraby z nieprawością w jakiekolwiek kompromisy wchodzić spróbowała. Argumentów, jakimi się posilkuje jedna i druga strona, przytaczać nie będziemy — nadto wiadomości całej nie podajemy w formie łamigłówki jakiejś do rozwiązania dla czytelniczek naszych, najsilniej bowiem przekonani jesteśmy o sposobie myślenia i zapatrywaniach całej niezmiernej większości kobiet na tę klęskę społeczną, i na nikogo też nie liczymy tyle co na kobietę w sprawie uwolnienia nas od tej sromoty przyniesionej z przeżytego Zachodu europejskiego.

Drugą sprawą także dosyć ważną dla nas jest oburzenie dosyć powszechne na niewielki ale jadowity tomik, który ukazał się niby powinszowanie przednoworoczne dla Warszawy. Książeczka nosząca tytuł „Stara i nowa prassa warszawska" napisana przez bezimiennego autora, którego, mówiąc nawiasem, wszyscy się domyślają, pełna jest jadu, żółci i szyderstwa. Z wyjątkiem jednej może osobistości ze świata literackiego nie oszczędza ona nikogo, nadto mało mówi o wartości zasad, których się szczerze lub pozornie trzymali charakteryzowani czy szkalowani, a czepia się ich osobistości, wywlócząc tajniki często nader uwłaczające z życia prywatnego.

Jest to jednem słowem paszkwil, ale paszkwil zostawiający wrażenie w najwyższym stopniu pognębiające ze względu na osoby dotknięte. Nie można zapomnieć, że byli to w znacznej części ludzie, którzy znaczyli i ważyli. Albo tedy paszkwil jest infamią czystą — jest skłamany z końca w koniec, albo jest kłamstwem w połowie, co byłoby już dla nas złem bardzo, albo... Ale dajmy pokój przypuszczeniom.

W każdym razie smutne jest to wszystko — nadzwyczajnie smutne.

Wystawa.

Jedna z celniejszych firm wydawniczych za granicą, jak zawiadamia „Kuryer Warszawski," nadesłała na ręce tutejszej księgarni Treptego, kollekcye wzorów dla urządzenia z niej wystawy na użytek wszelkich rzemiosł i sztuk stosowanych. Do tego dołącza obecnie rzeczona firma podręczniki i materyały rysunkowe dla rzemiosł, przez co termin wystawy odroczonym będzie nieco, a mianowicie do początków Lutego roku 1897. Dochód z wystawy przeznaczony będzie na cele ogólne, wedle uznania zarządu Muzeum rzemieślniczego.

Ogrodnictwo.

Zarząd Towarzystwa Ogrodniczego, po opinii przychylnej ze strony komissyi rozpatrującej wniosek pana Lepperta o ogródkach doświadczalnych, przystępuje obecnie do wykonania tej myśli. Za pośrednictwem pism peryodycznych wzywa Towarzystwo ogrodnicze swoich członków zamieszkałych w Warszawie i na prowincyi — zarówno rolników i ogrodników o wzięcie udziału w hodowlach doświadczalnych, o których wiadomość zarząd corocznie rozsyłać zamierza. Przestrzeń gruntu wymagalna wyniesć może 35 mniej więcej prętów kwadratowych. Na rok nadchodzący 1897 poddane będą próbom warzywa i ogrodowizny: 6 odmian kalafiorów — 12 odmian kapusty — 6 odmian cebul — i 10 odmian pomidorów.

Życzący przyjąć udział w tej pracy proszeni są o nadsyłanie deklaracyi do dnia 15 Stycznia 1897 roku, do kancelaryi Towarzystwa ogrodniczego Bagatela numer 3, gdzie wszelkie bliższe informacye udzielane będą.

Dobroczynność.

Ustawa istniejącego przy szpitalu Dzieciątka Jezus domu wychowawczego wraz z przeniesieniem tego przytułku na miejsce przeznaczone, ulegnie pewnym reformom, wedle tego jak głoszą pisma informowane. Wyznaczona w tym celu specyalna komisya opracowała projekt, który pozyskawszy aprobatę rady miejskiej dobroczynności publicznej przedstawiony zostanie niebawem do zatwierdzenia władzy właściwej.

Dom wychowawczy i na przyszłość podobnie jak dotąd składać się będzie z dwóch oddziałów: 1) dla niemowląt przy piersi, 2) dla dzieci starszych zwróconych ze wsi, albo nadsyłanych przez władze administracyjne. Wychowańcy i wychowanice korzystać będą z opieki zakładu, aż do wieku prawnej pełnoletności.

Zmarli.

Leokadya i Bronisława Kosmowskie, przewodniczki pensyi żeńskiej, na czele której stały obie siostry od roku 1878.

Śmierć zabrała jedną w kilka miesięcy po drugiej, pozostawiając opustoszałe pole ich pracy, na którem te wielkiej szlachetności kobiety szafowały hojnie wszystkimi zasobami sił swoich i poświęcenia.

Szczery żal rodziców oceniający wartość pedagogiczną usiłowań obydwu sióstr Kosmowskich, i wdzięczność uczennic łączy się ze wspomnieniem ich Chrześciańskiego żywota.

Aniela Milewska właścicielka ziemska i powieściopisarka. Utwory jej pióra drukowała „Biblioteka Warszawska," „Zorza," „Gazeta Rzemieślnicza" i „Kaliszanin." Ostatnią pracą zmarłej ś. p. Milewskiej była powieść „Studentki," która w początkach b. m. opuściła prasę.

Antonina Luckowska siostra miłosierdzia w Instytucie świętego Kazimierza na Tamce. Jak zapewniają świadomi rzeczy ś. p. zmarła liczyła wieku lat 88, a w tem spełniała obowiązki powołania swego niewątpliwie najtrudniejsze ze wszystkich obowiązków, przez ciąg lat 63 (wyraźnie sześćdziesiąt trzech).

Niechże co chcą mówią sobie epikurejczycy o konserwowaniu zdrowia i przedłużaniu życia przy pomocy bezczynności i egoistycznych rozrywek — fakta takie jak powyższy najwymowniej temu zaprzeczać będą.

☞ **Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.**

„KRAJ“ w 1897 roku.

„Kraj” wychodzić będzie w roku przyszłym a piętnastym swego istnia w dotychczasowym kierunku i pod tąż samą redakcyą. ***Polityczne*** zadanie „Kraju” polega na wywalczeniu lepszych warunków społecznego bytu, na drodze spokojnej, legalnej a wytrwałej pracy. Pod względem ***dziennikarskim*** „Kraj” stara się o jak najbardziej wszechstronne, wyczerpujące i poważne informowanie o wszystkiem, co polskiego czytelnika wprost i pośrednio interesować może. „Kraj” posiada kilkudziesięciu stałych ***współpracowników*** w dziale politycznym i literackim i około dwustu korespondentów. Każdy tygodniowy numer „Kraju” ***składa się:*** z 18—24 str. tekstu polityczno-społecznego, z 10—12 str. ogłoszeń, przeplatanych „Kuryerkami” i starannie wybraną humorystyką polską i zagraniczną. W roku bież. „Kraj“ wprowadził jeszcze jedną inowacyę: ***specyalne dodatki***, gromadzące akta i materyały do najważniejszych a będących na dobie spraw publicznych. W ubiegłem półroczu takie specyalne dodatki poświecone były: Rewelacyom bismarkowskim, ruchowi ludowemu w Galicyi, Zjazdowi zbożowemu w Petersburgu, Sprawie Opalenickiej i Sesyi rady rolniczej. Wprowadzone od Nowego Roku ***ilustracye chwili bieżącej*** będziemy się starali w przyszłości jeszcze bardziej urozmaicić i artystycznie udoskonalić. Obecnie, korzystając z lepszych warunków, redakcya „Kraju“ zajętą jest obmyśleniem środków, celem rozszerzenia i podniesienia działu ***korespondencyi prowincyonalnej***. Nie będziemy wyliczać szczegółowo prac, jakie posiadamy w tece lub mamy przyobiecane, ograniczymy się tylko doniesieniem, że w pierwszym noworocznym numerze „Kraju“ rozpoczniemy druk większych rozmiarów noweli **Henryka SIENKIEWICZA** p. t. „***Na jasnym brzegu***“; poczem nastąpią: powieść **M. Bałuckiego** „***Zamki na lodzie***“ i **A. Gruszeckiego** „***W starym dworze***“.

Redaktor i Wydawca „Kraju“
ERAZM PILTZ.

Przedpłata na „KRAJ” pozostaje bez zmiany: 3 rs. kwartalnie (łącznie z przesyłką pocztową). Za najdogodniejsze dla siebie i prenumeratorów naszych uważamy przesyłanie opłaty prenumeracyjnej wprost do Petersburga pod adresem Administracyi „KRAJU” (Jekaterinskij kanał 82), albo też zażądanie, ażeby przedpłata ściągniętą została przez Administracyę „KRAJU” drogą obciążenia (zaliczenia) pocztowego.—Ogłoszenia z Warszawy i Królestwa, oraz prenumeratę miejską z Warszawy raczą sz. inserenci i prenumeratorzy składać wyłącznie w warszawskim kantorze „KRAJU” (Krakowskie-Przedmieście 55). Ogłoszenia z Cesarstwa i zagranicy przyjmuje Administracya „KRAJU” w Petersburgu. 6804

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Декабря 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**